

Instytut Pamięci Narodowej

<https://ipn.gov.pl/pl/wydawnictwo/o-ksiazkach/poczytaj/nie-tylko-o-ksiazkach/97077,Pawiak-byl-przedsionkiem-kacetu.html>
27.02.2026, 00:16

Pawiak był przedsionkiem kacetu

Część 1 rozmowy ze Stanisławem Zalewskim, byłym więźniem KL Auschwitz i obozów systemu Mauthausen: Gusen I, Gusen II, prezesem Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych

05.05.2020



Muzeum Więzienia Pawiak. Stanisław Zalewski przed tablicą wykonaną z granitu pochodzącego z kamieniołomu w Gusen. (fot. Maciej Foks)

Na początku okupacji był Pan nastolatkiem na warszawskiej Pradze.

W 1940 r. przerwałem naukę ze względu na trudną sytuację materialną rodziny. Brat zaproponował, że poleci mnie w warsztacie samochodowym przy ul. Waliców, w którym pracował. Zatrudniłem się. Wkrótce zakład został przejęty przez Wehrmacht. Naprawialiśmy samochody armii niemieckiej. Po utworzeniu getta warsztat znalazł się na jego terenie. Miałem specjalną przepustkę i ausweis, czyli dokument tożsamości, w którym umieszczono adnotację, że pracuję na rzecz armii Rzeszy. Byłem przez to nieco uprzywilejowany w wypadku łapanek.

Jak Pan zapamiętał getto?

Widziałem na ulicach wychudłych ludzi, dosłownie skóra i kości, osoby, które po upadku już się nie podnosiły. Tłok był czasem tak duży, że trudno było się swobodnie poruszać. Jednocześnie wisiały plakaty o imprezach artystycznych, funkcjonowały kawiarnie i restauracje, w których można było coś zjeść. W naszym warsztacie zatrudnienie znalazło kilku Żydów. Prosili nas o przyniesienie żywności ze strony aryjskiej. Miałem specjalną przepustkę, więc mogłem przy zachowaniu pewnej ostrożności poruszać się po getcie. Widziałem samochody niemieckie, które

jak się dowiedziałem od wspomnianych pracowników, przywoziły do getta produkty lepszej jakości. Zapytałem Żydów, skąd mają pieniądze na opłacenie tych dostaw. „Oni nie biorą pieniędzy, tylko to, co się świeci” – odpowiedzieli.

Czy widział Pan zachowanie Niemców wobec Żydów?

W warsztacie naprawialiśmy samochody, a także przygotowywaliśmy nowe maszyny do pracy w trudnych warunkach atmosferycznych, do rozruchu silników w niskich temperaturach. Pewnego dnia popsuta się sprężarka do pompowania opon. Żołnierz wyszedł przed warsztat, zatrzymał Żyda i kazał mu ręcznie pompować opony do samochodów ciężarowych. Kiedy ten upadł ze zmęczenia, żołnierz przestał się nim interesować. Zawołał kolejnego mieszkańca getta. Widziałem też, jak dwóch młodych żołnierzy z SS, których samochód był w warsztacie, wyszło przed zakład i zatrzymało Żyda z długą brodą. Wyjęli zapalniczkę, podpalali temu człowiekowi brodę i kazali szybko uciekać.

Wspomniał Pan o prośbie o żywność.

Moja pomoc w dostarczaniu żywności była bardzo ograniczona ze względu na kontrole. W okresie, w którym pracowałem w tym miejscu, posterunek tzw. granatowej policji był po zewnętrznej stronie getta. Następnie stał żandarm niemiecki, a od wewnętrznej strony policjant żydowski. Wszyscy nas sprawdzali, przy czym funkcjonariusz niemiecki był niezwykle dokładny. Brat zaproponował, byśmy szli razem. Podchodziłem, kiedy funkcjonariusz był zajęty jego dokumentami, w związku z czym nie kontrolowano mnie szczegółowo.



Tablica na murze przy ul. Waliców w Warszawie (fot. Maciej Foks)



Jedna z kamienic na terenie byłego getta. (fot. Maciej Foks)



Instalacja w rejonie ul. Waliców, upamiętniająca zamordowanych Żydów. Marsz Pamięci, lipiec 2019 r. (fot. Maciej Foks)

Czy był Pan świadkiem powstania w getcie?

Po akcji z 1942 r., kiedy tysiące Żydów wywieziono do obozu w Treblince, getto zostało okrojone i nasz warsztat znalazł się poza jego obrębem. Kilkanaście lat po wojnie dowiedziałem się, że właściciele zakładu – był to słynny warsztat Czesława Kozikowskiego – szykowali kryjówki dla Żydów po stronie aryjskiej. Niektórzy mieszkańcy getta nawiązali kontakty z właścicielami jeszcze przed zmianą granic. Warsztat opisany jest m.in. w książce Agnieszki Haski *„Jestem Żydem, chcę wejść”*. Hotel Polski w Warszawie, 1943.

Remont aut na potrzeby wojska niemieckiego był idealną okazją do sabotażu.

Kiedyś nie mówiłem o szczegółach, żeby ludzie nie robili niepotrzebnych psikusów sąsiadom parkującym pod oknem. We współczesnych samochodach takie zabiegi są niemożliwe do wykonania. Chodziło m.in. o resory i mechanizmy w silnikach. Naprawa główna była robiona tak, że po przejechaniu kilku tysięcy kilometrów silnik przestawał pracować. Awaria była nie do wykrycia w warunkach frontowych. Przy resorach wykorzystywaliśmy zjawisko karbu technicznego. Poinstruował nas pewien profesor z politechniki. Wystarczyła struna od fortepianu włożona między pióra. Taki resor po przejechaniu pewnej odległości przełamywał się na pół. To były bardzo precyzyjne zabiegi. Pracowałem w tym warsztacie trzy lata i w tym okresie nie dotarła do nas żadna informacja, że samochód remontowany u nas miał źle wykonaną naprawę.

W jakich okolicznościach Pana aresztowano?

Z kolegami z przedwojennej ferajny stworzyliśmy szajkę, którą nazwaliśmy Czterech na Literę S – było w niej trzech Staśków i jeden Stefan. Zaangażowaliśmy się w działalność konspiracyjną Związku Walki Zbrojnej. Dostaliśmy przydział do grupy tzw. małego sabotażu. Działaliśmy poza gettem. Między innymi malowaliśmy napisy na murach niezamieszkanymi domów, w tym kotwicę Polski Walczącej. Wieczorem, 12 września 1943 r., poszedłem na zbiórkę w fabryce kamieni młyńskich na Pradze, gdzie ojciec jednego z kolegów był szefem gospodarczym. Mieliśmy tam w piwnicy kryjówkę. Rano wyszliśmy ze Stefanem na akcję w pobliżu mojego miejsca zamieszkania przy ul. Olszowej. Malowaliśmy napisy na murach budynku dawnej Państwowej Komendy Uzupełnień (obecnie Wojskowa Komenda Uzupełnień). W tym miejscu rzadko chodzili ludzie. Malowaliśmy więc sobie spokojnie, aż nagle pojawił się patrol żandarmerii niemieckiej. Kazano nam podnieść ręce do góry i zostaliśmy aresztowani. Zabrano nam paski od spodni i zaprowadzono na posterunek przy ul. Szerokiej, obecnie Kłopotowskiego. Stąd zostaliśmy zabrani do budynku przedwojennej dyrekcji kolei państwowych, naprzeciwko obecnego domu handlowego. Stamtąd samochodem ciężarowym w towarzystwie czterech wartowników w późnych godzinach popołudniowych zostaliśmy przewiezieni do siedziby gestapo w al. Szucha i osadzeni w celach zwanych tramwajami. Tak nazywali je warszawiacy, ponieważ siedziało się w nich pojedynczo na ławce z oparciem, tyłem do wyjścia. Przesiedzieliśmy całą noc. Słyszeć było jęk więźniów. Nie wróżyło to niczego dobrego. Rano przyszedł starszy pan mówiący dobrze po polsku, wezwał nas na przesłuchanie. Pokoje przesłuchań były na piętrze, cele zaś na parterze, właściwie w piwnicy. Po drodze jegomość dał mi do zrozumienia, że jestem młody i jeżeli powiem, jak było naprawdę, to pójde do domu. Nawet mu wierzyłem, ale kiedy wszedłem do pokoju przesłuchań, złudzenia prysły. Przede mną był stół, przy którym siedział kanciarzostogłowy oficer SS. Na ścianie za nim była umieszczona tablica – mówiąc eufemistycznie – z narzędziami do mówienia prawdy. Stałem przed stołem, mając po bokach dwóch osiłków z pałkami. Zaczęło się przesłuchanie: imię, nazwisko, adres, aż doszliśmy do malowania. Jeżeli odpowiedź nie pasowała oficerowi, to machał ręką, a wtedy stojący po mojej lewej stronie osilek zaczynał mnie obrabiać. Kiedy kiwnął drugą ręką, obrabiał mnie osilek z prawej. Przede mną był badany Stefan. Po zatrzymaniu umówiliśmy się, co będziemy zeznawać. Albo uwierzyli w to, co mówiliśmy, albo mieli coś

ważniejszego do roboty, bo dostaliśmy tylko porządne lanie i wróciliśmy do cel. Byłem posiniaczony, ale nie doznałem trwałego uszczerbku. W późnych godzinach popołudniowych wraz z innymi więźniami przewieziono nas samochodem ciężarowym, zwanym pospolicie budą, „na Pawiak”. Któregoś dnia jeszcze raz przewieziono nas na przesłuchanie w al. Szucha. Mówiliśmy to samo, co zeznawaliśmy poprzednio, i ponownie dostaliśmy porządne lanie.



Stanisław Zalewski na tle Państwowej Komendy Uzupełnień. Warszawa 1942 r. (fot. arch. S. Zalewskiego)



Fragment rekonstrukcji historycznej transportu więźniów na dziedzińcu budynku przy al. Szucha w Warszawie. (fot. Maciej Foks)



Rekonstrukcja historyczna w celi, tzw. tramwaju. (fot. Maciej Foks)

Jak Pan zapamiętał Pawiak?

Pawiak był zwiastunem obozu koncentracyjnego. Na początku siedziałem w celi kwarantanny. Była tak zatłoczona, że nawet nie dawało się swobodnie chodzić. Spało się na siennikach, choć nie dla wszystkich ich starczyło. Po drugim przesłuchaniu mnie i Stefana przeniesiono na górę, do różnych cel. W mojej znajdowało się chyba sześć osób. Pierwszym skutkiem pobytu w tym miejscu były dręczenia nocne. Ledwo zdążyliśmy zasnąć po dziennych szykanach, słychać było stukot okutych butów, zgrzyt otwieranej celi, nazwisko i komendę w języku polskim: „Rzeczy nie zabierać, wychodzić”. Po pewnym czasie do naszych uszu dotarł huk wystrzałów i wiedzieliśmy już, co stało się z tymi, których wywołano. Mianowicie rozstrzeliwano ich w ruinach wypalonego getta. Pewnej nocy buty przestały stukać przed naszą celą. Zapaliło się światło. Wszedł osobnik ubrany po cywilnemu, wyjął kartkę i spokojnie ją rozwinął. Rozejrzał się po wszystkich więźniach, wyczytał nazwisko, dodając: „Rzeczy nie zabierać, wychodzić”. Usłyszeliśmy za jakiś czas huk wystrzałów. Nie spaliśmy do rana. Takie psychiczne znęcanie się osłabiało morale wielu więźniów. Rano na komendę należało wziąć kibel, czyli naczynie do załatwiania potrzeb fizjologicznych, zanieść biegiem do umywalni, wylać, szybko wypłukać, nabrać wody do dzbanka lub wiaderka. Nie wszyscy zdążyli nawet załatwić swoje potrzeby. I z powrotem biegiem do celi. Była to tzw. obórka – to przekręcone słowo z języka rosyjskiego oznaczające ubikację. Zajmowali się tym wachmajstrzy pochodzący z krajów Europy Wschodniej. Pewnego dnia na okrzyk „obórka” więźniowie pobiegli, a nas dwóch zostało. „A wy co?” – zapytał wachmajster. „Nam się nie chce” – odpowiedzieliśmy. „To chyba wam się zachce” – usłyszeliśmy. Po skończeniu obórki wywołano nas na korytarz i zaczęła się gimnastyka: pompki, żabki, czołganie się na łokciach, padanie i powstawanie. Po dwóch godzinach ledwie przeczołgaliśmy się do celi. W ciągu następnych dni, kiedy słyszeliśmy hasło „obórka”, zawsze nam się chciało. Mieliśmy szczęście, że potraktowano nas ulgowo, że nie byliśmy przesłuchiwanym w brutalny sposób, dlatego zatytułowałem swoją książkę *Znaki czasu*. Nie wszyscy byli w ten sposób traktowani. Niektórzy nie wracali z przesłuchania, a jeżeli wracali, to było widać, że niektóre części ciała zwisały bezwładnie. Pawiak to miejsce, w którym więzień zdawał egzamin z patriotyzmu, wytrzymałości, egzamin psychiczny, żeby się nie załamać.

Kiedy i w jakich okolicznościach został Pan przetransportowany do KL Auschwitz?

Po drugim przesłuchaniu pozwolono nam napisać kartkę do domu. Wolno było przesłać paczkę żywnościową, więc napisałem rodzinie co i jak. Paczka do mnie jednak nie trafiła. Po trzech tygodniach pobytu na Pawiaku został bowiem sformowany transport w nieznanym nam kierunku. 5 października 1943 r. zgromadzono więźniów w dużym pomieszczeniu i zrobiono rewizję. Następnie załadowano nas na samochody i przewieziono na dworzec. Jak się później dowiedziałem, był to Dworzec Gdański. Tam dosłownie upchnięto nas do wagonów towarowych z dwoma małymi okienkami. Ścisk był taki, że gdy ktoś chciał usiąść, reszta musiała się przesunąć do ściany. Jeżeli ktoś wstawał, to na jego miejsce mógł usiąść drugi. W wagonach przesiadaliśmy może godzinę lub dwie. Pociąg ruszył. Po nazwach mijanych stacji zorientowaliśmy się, że jedziemy w kierunku Krakowa. Nie dano nam jedzenia. Potrzeby fizjologiczne były zaś załatwiane w rogu wagonu. Na jednej ze stacji przyniesiono w kotłach wodę, ale nie starczyło jej dla wszystkich. Późną nocą dojechaliśmy do Oświęcimia. Kilka osób w naszym wagonie zmarło, część osób zaś ledwo mogła wstać. Żywi wyszli z wagonów, a martwych wyniesiono. Była późna, chmurna noc. Ustawiono nas piątkami w długą kolumnę. Po bokach znaleźli się esesmani z psami. Poszliśmy w kierunku obozu. Jeżeli ktoś się wychylał, to wskakiwały na niego psy. Tak doszliśmy do bramy z napisem *Arbeit macht frei*. Było wiadomo, że znaleźliśmy się w słynnym obozie koncentracyjnym Auschwitz. Umieszczono nas w bloku, który był przeznaczony do zasiedlenia przez więźniów.



Dni Pamięci Pawiaka. Stanisław Zalewski podczas spotkania z młodzieżą. (fot. Maciej Foks)



Uroczystości na terenie byłego KL Auschwitz. (fot. Maciej Foks)



Uroczystości na terenie byłego KL Auschwitz. Styczeń 2017 r. (fot. Maciej Foks)

Na czym polegała procedura przyjęcia do obozu?

Najpierw spisywano personalia. Zaskoczyło mnie to, że funkcyjnymi więźniami w baraku przyjęcia byli Żydzi. Nasz transport został wytatuowany w nietypowym miejscu, na wewnętrznej części lewego ramienia. Tak wytatuowano w tym czasie kilka transportów ludzi. Do dziś nie wiadomo dlaczego. W Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau też nie uzyskałem odpowiedzi. Dokumentacja tych więźniów została podobno zabrana z obozu. Moim zdaniem tak tatuowano więźniów, którzy nadawali się do pracy w produkcji zbrojeniowej, bo większość tych, którzy ze mną przyjechali, miała styczność z jakąś mechaniką. Po tatuowaniu przystąpiono do strzyżenia. Później dezynfekcja i ubranie w pasiaki. Dostaliśmy koszule, kalesony, spodnie i marynarki. Dano nam też trepy, ale nie było czapek. Miałem własne buty, tzw. kamasze. Jeden z więźniów funkcyjnych zaproponował mi wymianę butów na swoje w zamian za bochenek chleba. Nie zgodziłem się. „W czym będę chodzić, jak wyjdę z obozu?” – powiedziałem. Popatrzył na mnie wymownie i odszedł. To spojrzenie pamiętałem bardzo długo. Ubranie, w którym przyjechaliśmy, włożono w worki, które następnie zabrano. Po przebraniu w więzienne pasiaki ustawiono nas w kolumnę i tak przeszliśmy około 3 km do innej części obozu, tzw. Birkenau. Zostaliśmy ulokowani na bloku, na tzw. kwarantannie. To okres, w którym więzień musi dostosować się do warunków panujących w obozie.

Czy był Pan świadkiem zbrodni?

Pewnego dnia zamknięto nasz barak i nie pozwolono prawie cały dzień wychodzić. W żeńskiej części obozu zobaczyliśmy kobiety, którym kazano rozbierać się do naga. Załadowano je na samochody jak jakiś towar. Zamknięto pokrywy ładunkowe i auta ruszyły w kierunku krematorium. Za nimi jechał żołnierz na motocyklu. Jeżeli któraś z kobiet wyskoczyła, to strzelał

do niej. Innym razem widzieliśmy elegancko ubranych ludzi prowadzonych w kierunku krematorium, po gwieździe Dawida zorientowaliśmy się, że byli Żydami. Szli spokojnie. Jak się później dowiedzieliśmy drogą więźniarską pochodzili z Europy Zachodniej, mówiono im, że jadą do pracy na wschód Europy.

Długo był Pan w Auschwitz?

Miesiąc. W tym okresie wykorzystywano nas do prac przy dalszej rozbudowie obozu. Na początku rozładowywaliśmy wagony z materiałami budowlanymi. Musiałem dźwigać worki z cementem ważące 50 kg. Należało to robić w pośpiechu. Kto upadł i nie mógł się już podnieść z wycieńczenia, był zabijany. Po kwarantannie, czyli po około dwóch tygodniach, zostałem przydzielony do komanda, które rozbudowywało obóz. Żołnierz niemiecki, który był nadzorcą naszego baraku, zaprowadził naszą grupę do części zamkniętej, otoczonej drutem kolczastym. Kiedy przekroczyliśmy bramę, przekazał nas kapo, który po policzeniu więźniów wymachiwał, a nawet uderzał kijem - o dziwo tak, że nikt tego nie odczuł - krzycząc trochę po śląsku, trochę po niemiecku. Gdy zobaczył, że esesman odszedł daleko, przestał. Zaprowadził nas do pustego baraku, pozwolił usiąść i odpoczywać. Czasem miał trochę jedzenia dla nas. Więźniom, którzy wyglądali na silniejszych, kazał wychodzić przed barak i coś robić. Mieli też obserwować bramę. Kiedy kapo dostał sygnał, że ktoś idzie, wypędzał nas na plac robót i ponownie krzychał, cholerował, nawet kijem kogoś potrącił. Jak tylko Niemcy odchodzili, z powrotem kazał nam odpoczywać. Przedtem powiedział nam, że mamy pewien odcinek do roboty. Jeżeli tego nie wykonamy, to on pójdzie do krematorium. Praca wyglądała inaczej, kiedy wiedzieliśmy, że znów będziemy mogli odpocząć. Dzięki temu łatwiej mi było znieść warunki w Auschwitz.

Rozmawiał Maciej Foks

[Zapraszamy do lektury kolejnej części rozmowy](#)

[Poprzedni Strona](#)

[Następny Strona](#)

Rozmowa